GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 KWIETNIA 1936 R.

Nr. 8 ROK VI

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. GR. 50

GOSPODARKA NAROWODA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 8

1936 R.

15 — IV

STANISŁAW ŚWIANIEWICZ

DOKTRYNA KLASYCZNA A POLSKA RZECZYWISTOŚĆ

Postawa teoretyka a postawa polityka gospodarczego.

Wśród ludzi, którzy myślą nad zagadnieniami gospodarczemi mogą być dwie zasadnicze postawy psychiczne: postawa ekonomisty - badacza oraz postawa polityka gospodarczego. Ekonomista - badacz usiłuje przedewszystkiem usystematyzować pewne podstawowe pojęcia, któremi operujemy, mówiąc o zjawiskach gospodarczych. Pozatem usiłuje uchwycić istotę zachodzących pomiędzy badanemi zjawiskami związków przyczynowych, czy też funkcjonalnych, oraz próbuje na tem tle ustalić pewną prawidłowość w kształtowaniu się tych zjawisk. Ustalenie tych prawidłowości daje mu jednocześnie pewną metodę ujmowania życia gospodarczego.

Ten świat życia gospodarczego i społecznego przygniata badacza mnogością oraz niezmiernem skomplikowaniem obserwowanych tam zjawisk. Umysł ludzki nie może objąć całości tych złożonych powiązań. Powoduje to konieczność ograniczenia się do badania niektórych tylko zjawisk uznanych za podstawowe, tylko niektórych szczególnie ważnych powiązań. Z płynnej i zmiennej, organicznie zespolonej całości życia wyrywane są jako objekty badań tylko pewne typowe zjawiska. Stąd metoda myślenia ekonomisty - badacza z natury rzeczy nabiera cech mechanistycznych.

Odmienną jest postawa polityka gospodarczego. Usiłuje on na bieg życia okazać wpływ, kształtowanie się zjawisk gospodarczych wepchnąć w pewne określone łożyska. Interesuje go obraz życia społecznego jako pewnej całości, wewnątrz której niema żadnej określonej linji demarkacyjnej pomiędzy zjawiskami gospodarczemi a poza - gospodarczemi. Musi on myśleć nietylko w kategorjach pewnych prawidłowości gospodarczych, lecz również w kategorjach tych licznych czynników, które powodują odchylania się od tych prawidłowości. Dlatego też przy wyborze dróg postępowania musi on szukać przedewszystkiem pewnej syntezy dającej ujęcie tej rzeczywistości. Wiedza ekonomiczna ma dla polityka gospodarczego ogromne znaczenie, lecz sama przez się jeszcze nie wystarcza Polityka gospodarcza jest bowiem nietylko dziedziną nauki, lecz również dziedziną sztuki. Polityk gospodarczy musi mieć nietylko zdyscyplinowany umysł, lecz również zdolność intuicyjnego chwytania tego, co dla rozwiązania danego problemu jest w tym momencie najbardziej istotnem. Dlatego też jego metoda myślenia nie może być wyłącznie mechanistyczną.

Doktryna klasyczna.

Metodą najbardziej płodną w dążeniu do uchwycenia zależności, łączących pomiędzy sobą poszczególne typy zjawisk gospodarczych, daje nam ekonomja klasyczna. Tłomaczy to dlaczego tak wielkie przywiązanie do niej wykazuje większość przedstawicieli nauki ekonomicznej. Sytuacja badacza zjawisk społecznych jest o tyle gorsza, niż sytuacja przyrodnika, że w naukach społecznych jest prawie wykluczona metoda eksperymentalna. Ekonomja klasyczna stwarza jakby pewien surogat tej metody.

Przyrodnik, gdy chce zbadać działanie jakiejś siły, usiłuje laboratoryjnie wytworzyć sztuczne warunki, eliminuje działanie innych sił. Np. fizyk, usiłujący zbadać działanie prawa ciążenia, sztucznie usiłuje wyeliminować działanie ciśnienia przez obserwowanie zjawisk zachodzących pod kloszem, spod którego wypompowano powietrze. Dla ekonomisty tego rodzaju metoda jest niedostępna. Lecz szkoła klasyczna dała nam pewien surogat tej metody, polegający na tem, że przyjmuje się pewne ogólne założenia co do sytuacji oraz zasad postępowania człowieka gospodarującego — i dalej, rozumując dedukcyjnie, usiłuje się ustalić jak zmiany jednej wielkości ekonomicznej (np. ceny) będą odbijały się na zmianach innych wielkości (np. popytu, stopy procentowej, płacy roboczej i t. p.).

Zwykle przyjmuje się jako założenie, że każdy człowiek dąży do zdobycia maksimum korzyści w drodze minimum ofiar, że istnieje zupełna swoboda działalności gospodarczej, że każda jednostka jest idealnie poinformowana o stanie rynku, że każdy zna swoją korzyść, że istnieje absolutne zrealizowanie zasady poszanowania własności prywatnej i t. d. Tak postępowali w swoich dociekaniach teoretycznych wszyscy wielcy przedstawiciele myśli klasycznej, tak postępował Ricardo, tak postępował J. S. Mill, tak postępują współcześni przedstawiciele ekonomji abstrakcyjnej.

Na gruncie tej metody powstała cała współczesna teorja ekonomji. Jest to metoda w wielu wypadkach niezastąpiona tam, gdzie chodzi o uchwycenie *kierunku*, w którym zmiany jednych wielkości ekonomicznych oddziaływują na kształtowanie się innych wielkości. Dlatego też sądzę, że prawdopodobnie jeszcze przez długi szereg dziesiątków lat metoda wprowadzona przez klasyków będzie koniecznym instrumentem w dziedzinie niektórych badań teoretycznych.

Lecz metoda klasyczna zawiera w sobie również niebezpieczeństwa. Ludzie, którzy w swoich badaniach tą metodą posługują się, zaczynają bardzo często tracić poczucie rozpiętości istniejącej pomiędzy realną rzeczywistością gospodarczą a abstrakcyjnemi założeniami przyjętemi dla ułatwienia rozwiązania problemów teoretycznych. W ten sposób te oderwane założenia przeistaczają się nieraz również w punkty wyjścia dla ukształtowania programów polityki gospodarczej. Harmonijność konstrukcyj, które na tle przesłanek przyjmowanych zwykle przez klasyków, tworzy współczesna ekonomja teoretyczna, sugestjonuje umysły, szukające prawidłowości i logiki w zjawiskach społecznych. Sugestja ta rzutuje również na politykę gospodarczą. Mechanistyczne ujmowanie życia gospodarczego, nieodłączne w dużym stopniu od badań teoretycznych, przenika w ten sposób do rozumowań w zakresie polityki gospodarczej.

Wielcy przedstawiciele ekonomji klasycznej umieli przeważnie uniknąć tej przesady. Stąd u Smitha, Ricarda, Milla spotykamy się nieraz z momentami pozornie sprzecznemi z ogólnem nastawieniem głoszonej przez nich teorji. Smith, gdy od ogólnych rozważań przechodzi do konkretnych wypadków, wykazuje duże umiarkowanie, uznaje nawet czasami za wskazane pewne posunięcia o charakterze protekcjonistycznym. Ricardo, jako poseł do parlamentu, wypowiadał się przeciwko bezwzględnemu i natychmiastowemu zniesieniu ceł zbożowych. Mill głosił konieczność szeregu reform społecznych. Lecz obok wielkich mistrzów ekonomji klasycznej było również wielu ich zwolenników i następców, którzy nie potrafili zachować dyktowanego przez konieczności życiowe umiaru.

Dlatego też, gdy o doktrynie klasycznej mówimy, należy odróżniać jej pragmatyczne znaczenie dla teoretyka ekonomji od takiegoż znaczenia dla polityka gospodarczego.

Styl myślenia gospodarczego w Polsce.

Doktryna liberalizmu gospodarczego w okresie formułowania jej przez klasyków angielskich była na tamtejszym gruncie bardzo zbliżona do realnych wymogów życia. Anglja była pod względem rozwoju handlu i przemysłu najbardziej przodującym krajem świata, nie potrzebowała bać się żadnej konkurencji. Zwycięstwo na całym globie ziemskim zasad liberalnej polityki handlowej leżało w interesach ekspansji angielskiej. Szkoła klasyczna stworzyła nietylko niezmiernie płodną metodę badań teoretycznych, lecz również sugestjonowała myśl ekonomiczną świata hasłami polityczno - gospodarczemi, które były wykładnikiem interesów angielskich. Jest rzeczą niezmiernie ważną dla wzrostu znaczenia międzynarodowego każdego kraju, jeżeli potrafi on wytworzyć teorję i hasła, które idąc po linji jego życiowych interesów, jednocześnie mają moc sugestjonowania sposobu myślenia innych narodów.

Przeciwko tej sugestji angielskiej broniła się niemiecka myśl ekonomiczna. Fryderyk List, Szkoła Historyczna, socjaliści z katedry reprezentowali tę siłę oporu. Ich zasługi dla rozwoju nauki ekonomji są niepomiernie mniejsze od tego, co wniosły potężne umysły angielskich twórców ekonomji klasycznej. Lecz z punktu widzenia historji gospodarczej Niemiec XIX w. zasługi te są bardzo znaczne. Sprowadzili oni myśl niemiecką na grunt realny interesów własnego kraju.

Polska od czasów Królestwa Kongresowego była pozbawiona możności prowadzenia własnej polityki gospodarczej. Przed naszą myślą gospodarczą nie stawał problem tworzenia doktryny, która byłaby wykładnikiem naszych dążeń i interesów. W tych warunkach myśl naszych ekonomistów ze szczególną łatwością ulegała sugestji tej doktryny, która jest najbardziej wykończoną, najbardziej logiczną i harmonijną: doktryny klasycznej.

Obóz, który prowadził walkę o niepodległość, prowadził ją poza płaszczyzną zagadnień ekonomicznych. Stąd, gdy w maju 1926 r. obóz ten doszedł do władzy, nie przyniósł on ze sobą żadnego sprecyzowanego poglądu na kierunek polityki gospodarczej. Ludzie, którzy przyszli do kierownictwa życiem państwowem, zostali przeważnie oderwani od pracy wojskowej. W pracy tej jako oficerowie sztabowi byli oni świadkami najwspanialszych błysków myślenia politycznego na długą metę. Logicznie rzecz biorąc, w świetle tych błysków musiałby powstać dalekosiężny, wszechstronny program, obejmujący również proble-

my gospodarcze. Wiele okoliczności złożyło się na to, że nie powstał.

Ludzie, którzy w Polsce pomajowej coraz bardziej dochodzili do nadawania tonu naszej polityce gospodarczej w licznych wypadkach dopiero w trakcie aktywności praktycznej musieli określać swój stosunek do narzucanych przez życie niezmiernie skomplikowanych zagadnień. Nie można się dziwić, że sposób ich myślenia zaczął ulegać wpływom tej doktryny polityczno - gospodarczej, która jest najbardziej wykończoną i pełną, a która jednocześnie najbardziej odpowiada metodzie myślenia większości autorytetów w zakresie nauki ekonomicznej.

Podkreślam, że mówię tu o sposobie *myślenia* polityczno - gospodarczego, nie zaś o polityce gospodarczej, która faktycznie miała miejsce. Rozwój stosunków faktycznych poszedł po zupełnie innej linji, niżby wynikało z postulatów klasycznej polityki gospodarczej. Staliśmy się krajem skrajnego protekcjonizmu celnego oraz krajem karykaturalnych wprost przejawów etatyzmu. Lecz wszystko to stało się wbrew świadomej woli sfer, które za kierunek polityki gospodarczej ponoszą odpowiedzialność. Protekcjonizm przyszedł jako konieczność narzucona przez ustrój pieniężno - kredytowy oraz układ stosunków międzynarodowych. Źródła etatyzmu tkwią również w objektywnych koniecznościach życiowych. Niezdrowe formy, które on przyjął, ukształtowały się w dużym stopniu jako wyraz ekspansji na teren gospodarczy warstwy wyższej biurokracji, która życiu naszego państwa nadaje ton. Były to wszystko prądy żywiołowe, które rzeźbiły naszą rzeczywistość. W obliczu tej rzeczywistości nasze myślenie polityczno - gospodarcze, narzucające powtarzanie starych prawd ekonomji klasycznej, nosiło cechy pewnej abstrakcyjności, pewnego oderwania się od tego, co było prawdą polskiego życia.

Co jest najbardziej istotną cechą myślenia klasycznego w zakresie polityki gospodarczej? Sądzę, że najbardziej istotną cechą tego myślenia jest *ciągłe poszukiwanie punktów równowagi*, oraz przekonanie, że zbliżanie się do tych punktów jest warunkiem ruchu naprzód. W gospodarce XIX w. to zbliżanie się do równowagi przechodziło żywiołowo pod naciskiem działania sił samoregulujących rynku. Dziś jest to niezmiernie utrudnione na skutek istnienia licznych wielkości usztywnionych. To też myśl współczesnych polityków gospodarczych zaczyna poszukiwać sposobu przymusowego sprowadzenia tych wielkości do poziomu możliwie zbliżonego do tego, któryby się ukształtował w warunkach nieskrępowanego działania sił pchających do równowagi.

To nastawienie interwencjonistyczne aparatu państwa na przymusowe kształtowanie równowagi jest paradoksem, do którego dochodzi w naszych czasach liberalna doktryna ekonomiczna. Ale ten paradoks jest dziś zjawiskiem dość powszechnem. Na naszym gruncie do swego najbardziej jaskrawego wyrazu dochodzi on w zaleceniach min. Matuszewskiego, usiłującego w drodze całego skomplikowanego systemu posunięć polityczno - gospodarczych wtłoczyć gospodarkę polską na dno, na którem dopiero ma być osiągnięta równowaga, niezbędna dla tego, aby rozpędowe koło naszej gospodarki mogło zwolna ruszyć.

Tym cechom charakterystycznym naszego myślenia gospodarczego przeciwstawia się u obydwuch naszych wielkich sąsiadów, wschodniego i zachodniego, całkiem odmienny typ ujmowania problemów polityczno - gospodarczych. Jako kryterjum występuje tam *kwestja rozwoju sił wytwórczych*. Jeżelibym współczesną polską metodę myślenia gospodarczego miał porównać z metodą myślenia Niemiec hitlerowskich, musiałbym powiedzieć, że w naszej problematyce polityczno - gospodarczej zagadnienie schwycenia równowagi zajmuje nieproporcjonalnie wiele miejsca, natomiast zagadnienie rozwoju sił wytwórczych nieproporcjonalnie mało. W Niemczech zaś współczesnych (zarówno jak i w Rosji) jest całkiem odwrotnie: wszystko jest nastawione na rozwój potencjału wytwórczego, zagadnienie zaś schwycenia równowagi odgrywa nieproporcjonalnie małą rolę.

Ta różnica w stylu myślenia gospodarczego ma również swój odpowiednik w stylu polityk gospodarczych, jak również i w dotychczasowych rezultatach tych polityk. Olbrzymy, które z dwóch stron nas otaczają, zwiększają w gwałtownem tempie potencjał swoich możliwości wytwórczych, który przecież w dużym stopniu jest również potencjałem możliwości militarnych. Potencjał naszych możliwości wytwórczych pozostaje niemal bez zmiany.

* * *

Dzisiaj jesteśmy świadkami zwiększającego się napięcia sporu o zasady naszej polityki gospodarczej. Spór ten staje się coraz bardziej ścieraniem się dwóch wymienionych powyżej metod myślenia: metody wysuwającej na pierwszy plan problem szukania równowagi oraz metody nakazującej przedewszystkiem dbałość o tempo rozwoju sił wytwórczych. Spór ten jest jednocześnie świadectwem przełamywania się panującego w Polsce stylu myślenia polityczno - gospodarczego.

TADEUSZ ŁYCHOWSKI

CELE POLITYKI O ZASIĘGU STRUKTURALNYM

Szybkie powiększenie akumulacji kapitału rzeczowego w Polsce może być tylko wynikiem polityki, która świadomie będzie ten właśnie cel miała na widoku, pomijając wszelkie cele uboczne.

W naszych uwagach o polityce, którą nazwaliśmy polityką o celach strukturalnych, ogłoszonych na tem miejscu w dniu 1.I. i 15.III. b. r., postawiliśmy właściwie dopiero dwie tezy zasadnicze, które spróbujemy sformułować możliwie jaknajbardziej syntetycznie. Brzmią one mianowicie:

1. Przy polityce o celach wyłącznie konjunkturalnych zwiększenie dochodu społecznego w Polsce jest z uwagi na strukturę podziału tego dochodu i jego szczupłość wysoce *utrudnione*.

2. Polska rzeczywistość poza-gospodarcza (a więc polityczna, kulturalna i społeczna) wzmaga jeszcze trudność zwiększania tego dochodu a jednocześnie rodzi postulat wprost przeciwny temu zjawisku, a mianowicie żąda *przyśpieszenia* tego wzrostu.

Z tych dwu przesłanek rodzi nam się wniosek, że dla szybszego wzrostu dochodu społecznego w Polsce nie wystarczy prowadzenie polityki gospodarczej ograniczonej do celów konjunkturalnych, że — natomiast — niezbędne jest w możliwie szybkim czasie przejść na politykę, którą właśnie pozwoliliśmy sobie nazwać polityką o celach strukturalnych i t. j. taką polityką gospodarczą, która, pomijając w swych rachubach (a więc w ocenie hjerarchji celów do osiągnięcia i środków, pozostających do dyspozycji) momenty konjunkturalne, starać się będzie o przebudowę struktury gospodarczej kraju w ten sposób, aby stworzyć podstawy do *szybszego* wzrastania akumulacji kapitału rzeczowego a przez to i szybszego wzrastania dochodu społecznego.

*

* *

Jakie powinny być cele takiej polityki? Oczywiście — nie mówimy tu o celu ostatecznym t. j. o zwiększeniu dochodu społecznego, który przecież w gruncie rzeczy jest celem każdej bez wyjątku polityki gospodarczej. Chodzi nam w tym wypadku o cele widoczne, których osiągnięcie zadecyduje pozytywnie o celu ostatecznym. Chodzi nam o to, co w planie operacyjnym w czasie wojny zwykło się nazywać „objektami” natarcia, objektami, których zdobycie decyduje o ostatecznem zwycięstwie. Jakież powinny być cele tej naszej polityki?

Powinny one wypływać z fundamentalnych elementów naszej gospodarczej rzeczywistości. Elementami temi, naszem zdaniem, są:

a) niski poziom i anormalny podział istniejącego dochodu społecznego,

b) obciążenia tego dochodu, wynikające z administracji państwa w najszerszem znaczeniu słowa „administracja“, a więc zarówno z konieczności utrzymania go na stopie odpowiedniej obronności jak i zapewnienia mu odpowiedniego bezpieczeństwa wewnętrznego, administracji w ścisłem znaczeniu tego słowa, oświaty, potrzeb społecznych i t. d. i t. d.,

c) obciążenia natury społecznej — sensu largo — a więc, oczywiście, nietylko szeroko omawiane ubezpieczenia społeczne, ograniczenia swobody przedsiębiorcy przez ochronę pracy i t. d. i t. d., ale przedewszystkiem fakt podnoszony już przez nas w naszych poprzednich uwagach a polegający w syntezie swej na tem, iż tworzenie się kapitału w Polsce nie jest do pomyślenia w tej atmosferze ogólnej, w jakiej powstawał kapitał na Zachodzie, że — przeciwnie — tworzenie to obciążone jest temiż imponderabiliami, jakie ciążą *w tej chwili* na o wiele potężniejszym i dawno stworzonym kapitaliźmie zachodnioeuropejskim.

Celami polityki o zasięgu strukturalnym powinny być działania, mające na celu *zmianę* — oczywiście zmianę stopniową — wszystkich tych zjawisk, wpływających hamująco na wzrost dochodu społecznego. Jeśli mówimy o zmianie *wszystkich* nich, to bynajmniej nie w tym sensie, aby np. odrzucać pewnik, głoszący, iż w Polsce nie sposób dziś prowadzić polityki kapitalistycznej „pur sang“. Nie, zmianą w tym wypadku będzie *skoordynowanie* działania gospodarczego (a więc zmierzającego ku stworzeniu warunków, sprzyjających szybkiemu wzrastaniu dochodu społecznego) z akcją społeczną, wynikającą z właściwie pojętej wymowy polskiej rzeczywistości. Niesposób zacząć zdzierać z ludzi ostatniej skóry, kiedy o miedzę skórę tę przestali z im podobnych zdzierać. Ale niesposób też prowadzić pseudo-społeczną politykę, mającą wszelkie zewnętrzne cechy polityki społecznej organizmów bogatszych od Polski a treść (z konieczności...) zgoła odmienną.

Jakież zatem konkretnie muszą być pierwsze objekty natarcia polityki o zasięgu strukturalnym?

I. Niski poziom dochodu społecznego jest faktem podstawowym, ciążącym *bezpośrednio* na wszelkich poczynaniach w dziedzinie jego powiększenia, tak, iż ta trudność, stanowiąca jednocześnie przedmiot *głównego* działania całej akcji jest, nie do usunięcia działaniem wprost. Gdyby tak być mogło, nie potrzeba byłoby żadnych działań ubocznych. Ale też trudność ta będzie stopniowo maleć w miarę, jak owe środki uboczne będą odnosiły swój skutek i dochód społeczny pocznie wzrastać. Wskazywaliśmy już w naszych poprzednich uwagach, iż trudności zwiększania dochodu społecznego maleją w jakiejś conajmniej geometrycznej proporcji w miarę zmian w rozmiarach samego dochodu. O wiele trudniej jest podwoić dochód społeczny 400 zł. rocznie na głowę niż osiągnąć zwiększenie o 25% dochodu w wysokości 1,600 zł. rocznie na głowę, jakkolwiek suma wzrostu będzie identyczna w obu wypadkach.

Niezmiernie ważny jest natomiast postulat drugi: anormalny podział tego szczupłego skądinąd dochodu społecznego w Polsce. Nie zamierzamy przy-

taczać tu ogólnie znanych liczb. W każdym razie można stwierdzić, iż postulat idealnie równego podziału tego dochodu w Polsce w chwili obecnej doprowadziłby do sytuacji, kiedy na głowę ludności przypadłby dochód roczny w wysokości w każdym razie nie wyższej niż jakieś 300 zł. Jasne jest, iż w tych warunkach można myśleć tylko o stopniowej poprawie obecnego rozkładu dochodu społecznego w kraju, poprawie, idącej w tym kierunku, aby stwarzać dla coraz to większej masy warunki conajmniej minimum egzystencji. Reforma rolna — nawet przeprowadzona bardzo radykalnie — niewątpliwie rozwiązać sama jedna zagadnienia tego nie może. Może natomiast stanowić odpowiedni i właściwy start. Jest już obecnie aksjomatem, stojącym poza wszelką wątpliwością, iż zlikwidowanie olbrzymiej masy bezrobocia wiejskiego odbyć się może *przedewszystkiem* w drodze uprzemysłowienia kraju. Rozwiązanie kwestji emigracji żydowskiej jest trzecim punktem w tej dziedzinie. Nikt od nas obciążającego nasze gospodarstwo proletarjatu i półproletarjatu żydowskiego nie przyjmie zadarmo. Trzeba będzie zato zapłacić — bez względu na to, czy objektem emigracji będzie Birobidżan, Palestyna czy jakieś inne jeszcze tereny. Emigracja elementu polsko-ukraińskiego w obecnych warunkach na długie lata nie może stanowić czynnika, któryby syntetyczne obliczenie mogło mieć na względzie.

Konkretyzujemy: lepszy podział dochodu społecznego można w obecnych warunkach osiągnąć przez reformę rolną skombinowaną z uprzemysłowieniem i emigracją proletarjatu żydowskiego.

II. Reformę rolną przeprowadzić możemy sami. Emigrację balastu obco - narodowościowego — w porozumieniu z odpowiedniemi krajami imigracji żydowskiej. Pozostaje trzeci — i najważniejszy — punkt: uprzemysłowienie. Gdzie leży *sedno* warunków, umożliwiających szybki wzrost naszego potencjału przemysłowego? Bo przecież o to sedno przedewszystkiem chodzi.

Leży ono, w naszem pojęciu, właśnie w zneutralizowaniu obu tych wielkich obciążeń, jakie przeszkadzają w szybkiem narastaniu dochodu społecznego w Polsce — wogóle. Pierwszem z nich są, mówiąc syntetycznie, *koszty utrzymania państwa*. Koszty te są niewątpliwie w stosunku do obecnego dochodu społecznego za wysokie — i przez to uniemożliwiają jego wzrost. W jednej z prowadzonych ostatnio dyskusyj klubowych obliczano, że obecny dochód społeczny mógłby wytrzymać bez szkody dla swej naturalnej dynamiki *zaledwie połowę* tego obciążenia, jakie ciąży na nim w chwili obecnej. Przyjmijmy tę liczbę jako punkt wyjścia. Jasnem jest dla nas w tym wypadku, że w takim razie drugą połowę musi wziąć na siebie *społeczeństwo*. Mamy, poprostu, na myśli powszechną służbę pracy — tak, jak została ona stworzona w Niemczach, ale o zgoła odmiennych od niemieckiej celach. Bynajmniej nie chodzi nam w tej chwili (jak w Niemczech) o jakieś równouprawnienie pracy fizycznej z umysłową. Nie w tem leży problemat. Idzie poprostu o *wysiłek społeczny*, polegający na tem, aby przez nieodpłatne świadczenia sfery, posiadające jakiś udział w dochodzie społecznym, wzięły na siebie znaczną część kosztów utrzymania aparatu państwowego. Jakkolwiek fantastycznie wyglądałaby napozór ta koncepcja, zawiera ona fundamentalną prawdę, polegającą na tem, iż tylko w tej drodze koszt aparatu państwowego olbrzymiego stosunkowo organizmu państwowego, jakim jest Polska, może być sprowadzony do proporcji dochodu społecznego, jaki organizm ten posiada. Olbrzymią część kosztów samorządu, obsługi ubezpieczeń społecznych, nauczania i t. d. i t. d. muszą na siebie wziąć klasy, które w obecnych warunkach są, niestety, w polskich warunkach luksusem. Że musiałoby to pociągnąć za sobą olbrzymią przemianę w kształtowaniu się zarówno kierunku nauczania jak i wogóle — głębiej znacznie sięgając — w samej strukturze kultury naszego społeczeństwa, to pewna. Ale logika faktów ku temu właśnie nas nieubłaganie pcha. Im prędzej świadoma akcja wyzwoli gromadzące się od samego powstania państwa wewnętrzne procesy — tem lepiej.

W tych warunkach, w warunkach, kiedy zarobkujący lekarz będzie musiał poświęcać część swego czasu na nieodpłatne świadczenia w ubezpieczalni, zarobkujący adwokat — na pracę w administracji samorządowej, zarobkujący inżynier — chociażby na naukę arytmetyki na kursach dla dorosłych, budżety publiczne w Polsce będą mogły być wreszcie po stronie wydatków przyrównane mniejwięcej do możliwości normalnych naszego dochodu społecznego. Wyzwolona z tej daniny konsumcyjnej część dochodu z konieczności odpłynie ku inwestycjom produkcyjnym. Współudział kapitału zagranicznego, którego dopływu w wielkiej mierze zresztą nie spodziewamy się z uwagi na konieczność zachowania bezwzględnej samodzielności w naszej polityce zagranicznej, może — pracując na warunkach koncesyjnych — dopełnić reszty. W naszem pojęciu jest to jedyna logiczna droga *szybkiego* uprzemysłowienia Polski.

Uprzemysłowienie to odbywać się będzie, jak wspominaliśmy już, w warunkach o wiele mniej sprzyjających gospodarczo od tych, jakie towarzyszyły procesom analogicznym w Europie zachodniej. Ciążyć na niem będzie z konieczności ów moment społeczny — sensu largo — moment, o którym mówiliśmy poprzednio. W najogólniejszym skrócie tworzenie polskiego przemysłu nie będzie mogło oprzeć się na *wyzysku* pracy najemnej. Kapitał przemysłowy w Polsce będzie od samego początku jego rozrostu „kierowany". Tem większą mu trzeba będzie dać swobodę tam, gdzie momenty społeczne roli nie odgrywają, a więc w dziedzinie obciążeń podatkowych, pola dla inicjatywy prywatnej i t. d. i t. d.

W naszem pojęciu więc polityka gospodarcza o zasięgu strukturalnym tworzy logiczny łańcuch poczynań, rozpoczynający się na ogniwie poprawy podziału dochodu społecznego w obecnej jego strukturze, a idący dalej poprzez ograniczenie konsumcyjnych wydatków państwa do stworzenia warunków pod szerokie uprzemysłowienie kraju, wchłonięcie znacznej masy bezrobocia wiejskiego przez przemysł, podniesienia stopy życiowej ogółu społeczeństwa i — powrotu do punktu wyjścia t. j. do zwiększenia dochodu społecznego w jego całokształcie. Rozumiemy, iż wszystkie te zasadnicze poczynania (a równie ważne są wszystkie ich strony uboczne, o których z natury rzeczy niesposób mówić na tem miejscu) muszą być

koordynowane w porządku i czasie. Tylko bowiem przy jednoczesnem ich stosowaniu oraz ustaleniu zgóry hjerarchji napięć każdego z nich w odpowiednim okresie dać mogą one oczekiwany rezultat.

* * *

Wytyczne nakreślone powyżej stanowią szczytową syntezę celów, do których powinna, naszem zdaniem, dążyć polityka o celach strukturalnych w Polsce. Wykonywanie ich zmieni nietylko podział dochodu społecznego w kraju. Osiągnie — i osiągnąć musi — jeszcze coś więcej. Przeorze do głębi obecną strukturę zawodową i klasową naszego społeczeństwa. Tylko bowiem przy tego rodzaju poczynaniach powstać może w Polsce w naszem zrozumieniu ów „stan trzeci", którego dotychczas tak nam brak. Jasne jest, iż wykonanie tego programu musi mieć jako skutek skierowanie większości młodego pokolenia w Polsce od t. zw. zawodów wyzwolonych do dziedziny zajęć związanych bezpośrednio z produkcją i obrotem. Zwracamy specjalną uwagę na ten moment, moment w naszem pojęciu niezmiernie istotny, gdyż dotyka on bezpośrednio zagadnienia t. zw. „nadprodukcji inteligencji", stanowiącego niewątpliwie centrum zagadnienia przyszłej polskiej kultury. Powszechna służba pracy w Polsce, służba, wykorzystująca *już istniejące kadry* tej inteligencji zawodowej, zmienić musi charakter kształtowania się przyszłych jej kadr. A to, naszem zdaniem, jest szczególnie ważne.

Czy — wreszcie — taki program jest „rewolucją" w społecznem znaczeniu tego słowa? Mamy o tem zamiar pomówić w naszych przyszłych uwagach. Chwilowo ograniczymy się do jednej: wymaga on *w każdym razie* zarówno wysiłku gospodarczego całego narodu jak i — specjalnie — wysiłku ideowego tych, na których ciążyć będzie w pierwszym rzędzie jego przeprowadzanie. O „rewolucyjności społecznej" jego, jak powiadamy, będzie jeszcze czas pomówić. Że jednak zakłada on zgóry „rewolucję duchową" w społeczeństwie — to pewna.

BOLESŁAW WŚCIEKLICA

STABILIZACJA KRYZYSU CZY MARSZ NAPRZÓD?

Jesteśmy wtłoczeni między rosnące szybko siły, wśród starca których możemy się ostać tylko — powiększając moc własną. Moc gospodarczą i wojskową, a temsamem moc polityczną.

...Napięcie panujące w sferze stosunków społecznych jest tem zjawiskiem które zmusza do szybkiego działania.

Jaki system środków obrać w walce z kryzysem?, — oto pytanie, które raz poraz powraca w Polsce, powraca zwłaszcza wówczas, gdy zmianie ulegają warunki, w których żyjemy, powraca ze szczególną ostrością, gdy nagie fakty świadczą, jak daleko posunęli się naprzód nasi sąsiedzi w międzynarodowym wyścigu pracy i przygotowań do walki, i — jak dalece my, Polacy, pozostaliśmy za nimi w tyle.

Jesienna dyskusja, której ośrodkiem był t. zw. program deflacji integralnej, odbywała się w szczególnych warunkach. Znaczny, i zwiększający się w miesiącach letnich deficyt budżetowy wywołał obawy o los waluty przy braku jakichkolwiek perspektyw na poprawę konjunktury. Wyrazem tych obaw był odpływ wkładów z instytucyj bankowych. Nastroje społeczeństwa graniczyły z paniką. Istniejący podówczas stan psychiczny społeczeństwa nie pozwalał żadną miarą na podjęcie polityki przyśpieszania poprawy gospodarczej, która musiałaby się oprzeć o aparat kredytu publicznego. Zadaniem najpilniejszem było zrównoważenie budżetu. Dyskusja nad zagadnieniem: — kontynuować i pogłębiać deflację, czy też ograniczać względnie likwidować ją? — została przecięta wystąpieniem rządu, który *w ówczesnych warunkach* opowiedział się za programem deflacyjnym i na czele podjętych przez się zadań postawił redukcję wydatków państwowych. Dyscyplina społeczna wymagała zaniechania sporów na temat podstaw naszej polityki gospodarczej, skoro tylko wiązały się one ze sprawą równowagi budżetowej, stanowiącą konkretne zadanie rządu na chwilę bieżącą. Energiczna akcja rządu osiągnęła cel: budżet państwowy został stopniowo, w ciągu kilku miesiący zrównoważony. Wydatki inwestycyjne zostały w bardzo znacznej części przerzucone poza budżet, związane bezpośrednio z polityką kredytową państwa i tem smame uzależnione od stopnia wykorzystania aparatu kredytu publicznego odpowiednio do każdoczesnych konkretnych warunków.

* * *

W jesieni roku ubiegłego zbiegły się zatem dwa wypadki z dwóch różnych dziedzin, o niewspółmiernem, rzecz prosta, znaczeniu: sformułowanie w szczególnie wyraźnej i ostrej formie t. zw. programu deflacji integralnej i energiczna działalność w sferze polityki gospodarczej, której najważniejszym i bezpośrednim celem było zrównoważenie budżetu. Dyskusja na tematy „integralistyczne" powróciła już pod koniec zimy i ośrodkiem jej stała się sprawa inwestycyj publicznych.

Program deflacji integralnej, głosił, że należy ograniczyć korzystanie z rynku pieniężnego przez gospodarkę publiczną celem pozostawienia istniejących zasobów oszczędności pieniężnych do dyspozycji prywatnego ruchu inwestycyjnego.

Nadzieje na prywatny ruch inwestycyjny nie spotkały się, jak dotąd z oddźwiękiem ze strony obdarowanych sfer prywatno - gospodarczych. W toku podjętej z wielkim rozmachem akcji anty - etatystycznej mieliśmy niemało enuncjacyj programowych ze strony przedstawicieli inicjatywy prywatnej. Przebijał w nich pewien sceptycyzm co do możliwości podjęcia w warunkach istniejących lub nawet upragnionych (w związku z postulatami wobec polityki gospodar-

czej państwa) prywatnego ruchu inwestycyjnego na większą skalę, i — wraz z nim obawy o nadmierne hamowanie inwestycyj *publicznych*.

To stanowisko sfer prywatno - gospodarczych jest w panujących warunkach jaknajbardziej uzasadnione. Jest bowiem błędnem rozumowanie, że korzystanie gospodarki publicznej z istniejących zasobów pieniężnych jest zasadniczą przyczyną istniejącej *drożyzny kredytu*. Po — pierwsze bowiem, cena kredytu w czasie kryzysu w Polsce wyraźnie spada (co znajduje odbicie w tablicach statystycznych Instytutu Badania Konjunktur Gospodarczych). Powtóre — cena kredytu obarczona jest premją za ryzyko podejmowania wszelkich operacyj gospodarczych (a więc i finansowanych przez kredyt), która w okresie kryzysu silnie wzrasta, podczas gdy rentowność procesów gospodarczych spada.

Jak przełamać tę zaklętą obręcz warunków, w które zamknięte jest życie gospodarcze w okresie kryzysu? Odbudowując rentowność? Wzrost rentowności możliwy jest jedynie poprzez zwiększanie popytu na dobra i usługi gospodarstwa, którego znamieniem jest zwyżkowa tendencja cen [1]). Jest rzeczą obojętną, czy wzrost popytu pochodzi z Londynu czy z Falenicy, ze wsi czy też z miasta. Jeśli niema nadziei na wzrost eksportu, pozostaje liczenie na własne siły.

Czy niema nadziei? Mówi się o zwyżkowej tendencji cen światowych. Ale... rynek światowy jest czemś zupełnie innem i znacznie węższem niż był przed laty. Wymiana międzynarodowa skurczyła się kolosalnie, przyczem o udziale w niej decyduje w pewnej tylko części cena, skoro przywóz do szeregu bogatych krajów podlega ostrej bardzo selekcji. Wychodzi z niej zwycięsko ten dostawca, który ma do zaofiarowania towar istotnie niezbędny z punktu widzenia już nie prywatnego konsumenta, ale ze stanowiska polityki gospodarczej kraju importującego. Ocena towaru zaofiarowanego jest więc inna niż przed laty. W krajach uzupełniających dziś braki, powstałe pod wpływem kryzysowego obniżenia się ruchu inwestycyjnego, w krajach rozbudowujących gospodarkę publiczną i prywatną, w krajach zbrojących się towarem najwyżej cenionym jest *niezbędny* (zatem niezastępowalny przez własne bogactwa naturalne lub też t. zw. namiastkę) surowiec, maszyna lub przedmiot uzbrojenia w najszerszem tego słowa znaczeniu. Żywność lub surowiec kraju, który w tej swoistej wymianie towarów służących rozbudowie życia gospodarczego i wojnie nie bierze znaczniejszego udziału, są towarem, którego losy zależą od „rynku światowego“, od jego poziomu cen. „Rynek światowy“ to nie jest jednak współczesny świat gospodarczy, to jest jego ułamek, którego wpływ nie może być przeceniony, jeśli chce się zachować ostrożność niezbędną we wszelkich kalkulacjach polityki ekonomicznej. Na tym rynku światowym Polska konkuruje swemi „złotemi“ cenami, które, rzecz prosta, muszą być stosunkowo wysokie. Zwyżkowa tendencja cen „światowych“ o bardzo zacieśnionym zasięgu przedmiotowym, o stosunkowo ograniczonych w dzisiejszych warunkach, możliwościach rozwojowych, nie budzi nadziei na uzyskanie zzewnątrz bodźców do poprawy konjunktury. Szukać ich wypadnie w kraju.

*

* *

Rozmiary zapotrzebowania na dobra i usługi ekonomiczne w danym kraju zależą od siły nabywczej, jaką dysponuje on w ciągu danej jednostki czasu. Na siłę nabywczą składa się pieniądz (gotówka) i kredyt. W Polsce obieg banknotów wynosi dziś 3/4 obiegu z r. 1929, zaś suma weksli wystawianych w ciągu miesiąca 30% ich sumy z tegoż roku 1929. Jesteśmy zatem świadkami *zaniku kredytu*, lub — co na jedno wychodzi—gwałtownego zmniejszenia się szybkości obiegu pieniądza. I tu tkwi sedno zagadnienia. Bez pobudzenia kredytu niema poprawy konjunkturalnej. Gdy kredyt prywatny, obarczony wysoką premją za ryzyko, nie ma możności wypełnienia swej roli motorycznej w ożywieniu życia ekonomicznego kraju, spada ona z konieczności na publiczny aparat kredytowy. Oznacza to konieczność, nie zacieśnienia, ale *rozszerzenia działalności inwestycyjnej ciał publicznych*.

Zadaniem kredytu nie jest jedynie oddawanie do dyspozycji prywatnego przedsiębiorcy lub też gospodarki publicznej (a więc—pośrednio również do dyspozycji przedsiębiorstw prywatnych) zaofiarowanych oszczędności pieniężnych, ale antycypowanie przyszłych dochodów. Kredyt publiczny może być nie współzawodnikiem lecz promotorem prywatnego. (Statyczne traktowanie zagadnienia kredytu przez zwolenników integralnej deflacji jest najsłabszym punktem ich programu). Gdy zawodzi wiara przedsiębiorcy w osiągnięcie przezeń zysków z zamierzonej operacji, na miejsce kalkulacji prywatno-gospodarczej przychodzi publiczno - gospodarcza. Moment ryzyka rozkłada się na całe gospodarstwo. Ryzyko ulega niwelacji. Jeśli nie można już spadać w dół, pozostaje przyjęcie ruchu zwyżkowego t. zw. konjunktury gospodarczej jako jedynie możliwego: konieczną konsekwencją takiego założenia jest sięgnięcie do *przyszłych* dochodów. Takie stanowisko zostało przyjęte przez cały niemal świat współczesny.

Pogląd, według którego deflacja może prowadzić do ożywienia życia gospodarczego został już niemal powszechnie przedyskutowany i odrzucony.

Skoro program deflacji integralnej nie może doprowadzić do ożywienia konjunktury, to może służy on lepiej polityce ochrony kursu waluty, aniżeli stanowisko, opierające się na konieczności mobilizowania kredytu publicznego? Ochrona kursu waluty była przecie punktem wyjścia programu deflacyjnego; ożywienie życia gospodarczego było w tem ujęciu odkładane na później. Niewątpliwie, deflacja usuwa największe niebezpieczeństwa, jakie grożą walucie z chwilą zwiększania się przywozu, podczas gdy istniejące warunki nie pozwalają liczyć na wzrost eksportu ani na przypływ kapitału zagranicznego. Wszelkie ożywienie życia gospodarczego prowadzi do trudności równoważenia bilansu płatniczego. Likwidowanie tych trudności możliwe jest jedynie na drodze nieustannego obniżania się poziomu dobrybytu ludności, albo — ostrej ingerencji państwa w sferę bilansu płatniczego.

Program deflacji integralnej ma jednak w ujęciu jego twórców służyć osiągnięciu i utrzymaniu równo-

---

[1]) Mówimy tu naturalnie o cenach wolno - konkurencyjnych, rzecz prosta, zarówno przemysłowych, jak i rolnych. Zwyżkowej tendencji cen może towarzyszyć zniżka cen prywatno - monopolistycznych (kartelowych i innych); będzie ją nawet wzmagać.

wagi budżetowej. Nie oszczędności budżetowe, doraźnie zastosowane, lecz propagowany na dłuższą metę program deflacji integralnej wraz z jego tezami skierowanemi przeciwko kredytowi publicznemu!

Trwałe osiągnięcie równowagi budżetowej możliwe jest bądź przez trwałe również ograniczenie wydatków lub podniesienie dochodów państwa. I tu znowu nie wystarczy statyczne ujęcie zagadnienia. Uwzględniać trzeba dynamikę zachodzących zjawisk. Czy przy istniejących normach obciążeń podatkami, cenach dóbr i usług dostarczanych przez państwo można utrzymywać jego dochody stale conajmniej na obecnym poziomie? Część podatków państwowych wyznaczona jest przez dochody indywidualne z ubiegłego okresu. Pod wpływem deflacji dochody te obniżają się jednak... Dalej, program deflacji integralnej obarcza zadania równoważenia budżetu serwitutem w postaci *zmniejszania* ciężarów publicznych. Równowaga budżetowa może być zatem utrzymana tylko pod warunkiem stałej redukcji wydatków w stopniu przekraczającym spadek dochodów państwowych pod wpływem redukcji t. zw. ciężarów publicznych.

Wydatki ciał publicznych służą zaspokojeniu potrzeb, które nie mogą być ograniczane równolegle ze spadkowym ruchem konjunktury. Ta *naturalna sztywność wydatków publicznych* (piszący te słowa poświęcił temu zagadnieniu dość atramentu, aby go raz jeszcze na tem miejscu rozlewać), stanowi przeszkodę, której uprawiana konsekwentnie polityka deflacyjna nie może żadną miarą przebyć na drodze walki o równowagę budżetową. Powstają nożyce między... zamierzeniami polityki deflacyjnej a jej możliwościami. Konsekwencją radykalnej deflacji jest zawsze inflacja tak samo jak wynikiem radykalnej inflacji musi być uporządkowanie stosunków gospodarczych przez zabiegi deflacyjne. Wytworzoną lukę wypełnić musi kredyt publiczny, bez którego nawet *wegetować* niepodobna. Jeśli się chce uniknąć druku banknotów... Polityka deflacyjna prowadzona konsekwentnie wpada zatem niechybnie w ślepą ulicę. Może być zatem i musi być niekiedy mowa w okresie zastoju gospodarczego o zabiegu deflacyjnym celem doraźnego zrównoważenia budżetu, uprawianie jednak *polityki* deflacyjnej prowadzić musi do odżywania raz poraz trudności w swoim czasie przezwyciężonych. Dlatego właśnie utrzymanie równowagi budżetowej środkami, które prowadzą do obniżenia dochodu społecznego przypominać musi próbę rozwiązania kwadratury koła. Cel zamierzony osiągnąć można jedynie drogą podnoszenia dochodu społecznego poprzez rozwój kredytu publicznego.

*

* *

A teraz pytanie najważniejsze. Czy ten wyścig redukcji wydatków państwowych i zniżek dochodów może trwać nadal? Czy system wyrzeczeń się w zaspokojeniu najkonieczniejszych potrzeb społeczeństwa i Państwa Polskiego może być utrzymany? To nie jest zagadnienie abstrakcyjne, nie kwestja schematu myślowego. Polityka gospodarcza ma do czynienia z konkretnem życiem. Czy ten zwrot polityki ekonomicznej, który wydaje nam się nieunikniony, odpowiada potrzebom czasu i miejsca? Żyjemy przecież w Polsce 1936 r. Powiedzą nam, że na życie z dochodów przyszłych, życie „nad stan“ może sobie pozwolić zachód Europy, ale nie może na tę drogę wkroczyć Polska. I tu znowu tkwi błąd. Jesteśmy przecież krajem, który objęliśmy w posiadanie w stanie nie odpowiadającym potrzebom wolnego państwa. Wystarczy przypomnieć choćby tylko samą sieć komunikacyjną (drogi żelazne, bite i wodne), aby stwierdzić, że nie jest ona przystosowana do potrzeb naszego organizmu gospodarczego, ani do potrzeb obrony kraju. Wystarczy stwierdzić dysproporcje w zagospodarowaniu wschodu i zachodu Polski, wobec których olbrzymie połacie kraju są jako rynek zbytu dzielnic przemysłowych pozbawione jakiegokolwiek istotnego znaczenia, co rozluźnia spoistość polityczną terytorjum państwowego. Kryzys, który objął już trzecią część naszego niezależnego życia, hamuje wykonanie zadań, które są warunkiem naszego rozwoju, może — naszej egzystencji.

Od lat kilku świat niemal cały wkroczył w okres t. zw. nakręcania konjunktury, w okres zwiększonych inwestycyj publicznych służących życiu gospodarczemu i wojnie. Czynią to przedewszystkiem nasi sąsiedzi. Dysproporcja sił ekonomicznych, politycznych i wojskowych rośnie na naszą niekorzyść. Ostatnie wypadki na terenie międzynarodowym pozwoliły nam uświadomić sobie z przerażającą jasnością, że jesteśmy wtłoczeni między rosnące szybko siły, wśród starcia których możemy się ostać tylko — powiększając moc własną. Moc gospodarczą i wojskową, a temsamem polityczną. Jest to zagadnienie najbliższych *lat.*

Ale oto inny odcinek, na którym ciąży polityka deflacyjna, odcinek społeczny. Ograniczenie inwestycyj to redukcja zatrudnienia przez czynniki publiczne, to brak pracy dla tych, którzy znaleźli ją w poprzednim sezonie robót. Pogorszenie sytuacji na rynku pracy musi wywołać zaostrzenie konfliktów społecznych, tembardziej niebezpieczne, jeśli pracodawcą jest państwo. To nie są zagadnienia, których rozwiązanie może się odbywać w ciągu lat. Rozstrzygają się one w terminach znacznie krótszych, jak mieliśmy możność przekonać się o tem — nie w pełni sezonu zatrudnieniu, ale już u jego progu... Napięcie panujące w sferze stosunków społecznych jest tem zjawiskiem, które zmusza do *szybkiego* działania.

*

* *

Spór toczy się około różnych systemów mobilizacji siły nabywczej przez aparat kredytu publicznego. Zagadnienie to jest jednak nie natury zasadniczej, lecz techniczno - finansowej. Trudności, jakie wywołuje polityka ożywienia życia gospodarczego, są powszechnie znane. Tkwią one w sferze równoważenia bilansu płatniczego, wymagając stosowania w pierwszym rzędzie ostrych ograniczeń przywozowych, zastępowania niektórych towarów przywożonych przez materjały krajowe, niekiedy z konieczności gorsze. Niema jednak korzyści bez ofiar, niema poważnych zadań bez trudności, które trzeba przezwyciężyć. Walka o stałość waluty wymaga stosowania innych niż dotąd środków. Ingerencja państwa wzrasta. Pozwala to jednak rozszerzyć bardzo znacz-

nie granice poprawy gospodarczej bez narażenia na szwank kursu waluty.

Ramy, w jakich może być prowadzona polityka ożywienia ekonomicznego, nie mogą być zgóry ilościowo określone. Wszelkie operowanie liczbami absolutnemi, a nawet wskaźnikami, jako słupami granicznemi poszczególnych etapów polityki gospodarczej, grzeszy nieprzebaczalnym schematyzmem. Pytania w rodzaju: — ile? w jakim stopniu? nie mogą oczekiwać zgóry na jakąkolwiek określoną odpowiedź. Dać ją może życie. Dla polityka gospodarczego jest to kwestja wyczucia, a nie rachunku ilościowego. Ważne jest pytanie, nie: — ile?, ale: — w jakim kierunku?, ważna jest dynamika życia gospodarczego, dynamika łagodząca nagromadzone napięcia społeczne, dynamika marszu naprzód, a nie staczania się w dół w okresie gdy otaczające nas czynniki rosną w siłę.

U W A G I

Przywileje.

Od kilku lat weszło u nas w użycie rozróżnianie „sztywnych" i „elastycznych" elementów gospodarstwa społecznego. Fakt, że to pożyteczne rozróżnienie zbłądziło pod strzechy, że posługuje się niem każdy niemal dziennikarz, stanowi bezwątpienia wzbogacenie myślenia gospodarczego naszej zbiorowości [1]).

Nic też nie szkodzi, że u podstaw tego rozróżniania leżą pewne uproszczenia. Każda klasyfikacja, podobnie jak każda definicja, jest kwestją umowy. Nie można twierdzić, że jest słuszna, czy niesłuszna. Chodzi tylko o to, aby była konsekwentnie używana i użyteczna, chodzi o to, by klasyfikacji nie uważać za coś równoznacznego z oceną, by przy budowaniu ocen nie zapominać o podstawach, na których klasyfikację tworzono.

Niestety podział czynników gospodarczych na sztywne i elastyczne spotkał ten sam los, który spotyka wszystkie zbyt spopularyzowane terminy. Stał się on cenzurką. „Czynnik elastyczny", to uczeń piątkowy; „czynnik sztywny", to ten z oślej ławy, troska rodziców, zgorszenie kolegów; parszywa owca. Przy okazji tego pomieszania pojęć kilku parszywym owcom udało się zbiec z pola obstrzału, inne zaś wysunięto na czoło, w imię dodatkowo przyjętych, a niekoniecznie słusznych założeń.

Łatwo zrozumieć, dlaczego termin „sztywny" stał się w dyskusjach ekonomicznym tem, czem „sufragan" jest w dyskusjach powiedzmy nieparlamentarnych. Przez szereg lat wprowadziliśmy w zasadzie przynajmiej politykę przystosowywania poszczególnych elementów życia gospodarczego do obniżonego poziomu cen światowych, szukając na tej drodze możliwości ożywienia konjunktury. Opór pewnych elementów, ich sztywność, stały w sprzeczności z tą tendencją, co musiało wywoływać potępienie.

Zrozumieć nie zawsze znaczy przebaczyć. Przemiana klasyfikacji w ocenę jest w danym wypadku niejednokrotnie szkodliwa. Upraszczając sprawę do ostateczności wyobraźmy sobie, że fala konjunkturalna poszła w przeciwnym kierunku, że poziom wskaźników gospodarczych podnosi się, że czynniki elastyczne zwyżkują. Czy ktokolwiek poza akcjonarjuszami, a raczej poza dysponentami przedsiębiorstw skartelizowanych, martwiłby, się, gdyby ceny kartelowe pozostały w tym samym wypadku bez zmian? Sztywność stałaby się w tym wypadku cnotą. Ten żartobliwy przykład wskazuje na rzecz bardzo istotną. Zło nie leży w tem, iż pewne czynniki są sztywne, mniej zmienne od innych. Leży ono w tem, że w niektórych wypadkach sztywność ich jest wyrazem przywileju niesłusznie przez politykę gospodarczą nadanego, lub samorzutnie przez silną gospodarczą grupę zdobytego. Sztywność, która jest wyrazem przywileju, świadomie przez politykę gospodarczą nadanego i przez zbiorowość aprobowanego, może być uciążliwa, ale nie stanowi podstawy do takich samych jak w innych wypadkach wywodów. Klasycznym przykładem jest to, iż nie oburza nas nominalna sztywność, ani realny wzrost budżetu wojskowego, zaś elastyczność budżetu oświatowego, jego skurczenie, jest wielką troską społeczną.

Należałoby również rozróżniać czynniki sztywne z założenia, ze swej niejako istoty i czynniki, których usztywnienie jest rezultatem przypadkowej konstrukcji. Przez dłuższy czas wymieniano jednym tchem ceny kartelowe i obciążenia na rzecz ubezpieczeń społecznych. Zestawienie to oparte jest na niepomiernie daleko idącem uproszczeniu sprawy. Istotą kartelizacji, jej założeniem, jest właśnie nie co innego, jak dążenie do usztywnienia cen na poziomie wyższym od tego, jaki ukształtowałaby wolna konkurencja. Istotą ubezpieczeń społecznych jest eliminacja pewnych ryzyk losowych. Natomiast sztywność składek ubezpieczeniowych, a nawet względna sztywność świadczeń (absolutnej sztywności niema), jest elementem ubocznym i przypadkowym. Można bowiem doskonale zbudować nie gorszy skąd inąd (a pod względem elastyczności obciążeń lepszy) system ubezpieczeń oparty o składkę zmienną w czasie, wyższą w okresie prosperity, niższą w czasie kryzysu, wyższą dla przyszłych zamożniejszych pokoleń, niższą dla dzisiejszego pokolenia, któremu przypadło zadanie tworzenia tylu rzeczy od nowa.

Jak sądzę, z powyższych uwag dość jasno wynika wniosek, że pojęcie sztywności pewnego elementu gospodarczego użyteczne jest w zakresie ograniczonym. Wystarcza ono dla stwierdzenia, że dany usztywniony element nie zmienia się równolegle do innych bardziej elastycznych elementów, że w pewnych warunkach istnienie danego sztywnego elementu może stanowić przeszkodę dla odzyskania równowagi gospodarczej. Możemy nawet powiedzieć więcej, choć już niezbyt precyzyjnie. Możemy mianowicie powiedzieć, że nadmierna ilość elementów usztywnionych zmniejsza elastyczność całego gospodarstwa społecznego, utrudnia bardzo głęboko powrót do stanu równowagi i obciąża te odcinki życia gospodarczego, które — jeśli się tak wyrazić można — muszą wykazywać

[1]) Spopularyzowanie terminów. o których mowa. jest bodajże zasługą Gazety Polskiej.

zdwojoną elastyczność, aby skompensować sztywność innych czynników. Temniemniej jednak sam fakt sztywności pewnego elementu życia gospodarczego nie stanowi jeszcze podstawy do odsądzania go od czci i wiary.

Jeżeli usztywnienie pewnego czynnika jest wyrazem świadomej woli społeczeństwa, czy świadomej polityki gospodarczej, nie możemy temu faktowi nic zarzucić. Zarzuty pojawiają się wtedy, kiedy sztywność wynikła bądź z nieopatrznej konstrukcji, dającej się zmienić bez naruszenia istoty danego urządzenia gospodarczego czy społecznego (ubezpieczenia społeczne), bądź też wtedy, kiedy wyłamanie się spod ogólnej zmienności nastąpiło naskutek bezprawnego zdobycia przywileju przez silną gospodarczo grupę. Jeśli zatem wyeliminujemy pierwszą grupę wypadków, w odniesieniu do której praktycznem zadaniem polityki gospodarczej jest taka przebudowa konstrukcji, ażeby możliwie usunąć zjawisko sztywności bez naruszenia — jakeśmy to powiedzieli wyżej — istoty danego urządzenia, — to istotną treścią problemu okaże się właściwie tylko sprawa „bezprawnych przywilejów".

Postawienie tego zagadnienia w płaszczyźnie niezależnej od innych, wiązanych z niem ostatnio, zagadnień posiada poważne znaczenie praktyczne Tendencja traktowania w jednolity sposób spraw takich, jak wydatki publiczne i ubezpieczenia społeczne z jednej strony, a ceny kartelowe z drugiej strony, zaciemnia obraz i prowadzi koniec końców do osłabienia nacisku na zagadnienie kartelowe.

W ramach polityki dotychczasowej brak rozróżnienia pomiędzy charakterem poszczególnych czynników sztywnych nie przeszkadzał naciskowi na sprawę cen kartelowych. Jeśli natomiast przejdziemy do innej fazy w naszej polityce gospodarczej i w naszem życiu gospodarczem, jeśli ruch wskaźników odbywać się będzie wgórę, a nie wdół, to wtedy sam motyw nieelastyczności nie będzie stanowił dostatecznej podstawy do skupienia uwagi na sprawę karteli. Dlatego też uprzytomnienie sobie, że istota zagadnienia kartelowego polega na bezprawności zdobytego przywileju i że ujemne skutki kartelizacji występują nietylko na płaszczyźnie przebiegu konjunktury, ale stanowią również trwały ujemny czynnik strukturalny, jest koniecznym warunkiem, aby w fazie poprawy konjunkturalnej, t. zn. w fazie, kiedy naprawdę regulowanie sprawy karteli jest łatwiejsze, nacisk na to zagadnienie nie osłabł.

Bezwątpienia kartelizacja nie wyczerpuje zakresu przywilejów bezprawnych. Powtórzmy wyraźniej raz jeszcze, co rozumiemy przez taki przywilej. Będzie nim wszelki przywilej, bądź niesankcjonowany przez zbiorowość, bądź też mechanicznie przyjęty z przeszłości bez oceny źródła i motywów, na jakich został wybudowany. Ta ostatnia domena obejmuje wszelkiego rodzaju prawa nabyte, a więc np. prawo nabyte w dziedzinie emerytalnej, prawo wynikające z nienaszych ustaw, z ustaw nieodpowiadających dzisiejszym warunkom. I w tej dziedzinie wydaje się koniecznem, ażeby w okresie poprawy konjunkturalnej nie ulec względnej łatwości honorowania nabytych praw emerytalnych w momencie przyszłej względnej poprawy sytuacji budżetowej.

PACIERZ I PIORUN

Kiedy w konsekwencji przewrotu majowego nastąpił przełom w trwającym 9 miesięcy spadku złotego, opinja publiczna, nawet wypowiadająca się za przewrotem, była stabilizacją kursu dolara równie zaskoczona, co — zdziwiona. Społeczeństwu, przyzwyczajonemu do bezustannej, ciągnącej się przez pierwsze 4 lata niepodległości, dewaluacji waluty krajowej, wydawało się niezrozumiałe, by można się było zatrzymać na 58%, a nie — dajmy na to — 0,58% nominału. Zdumienie to dało się poniekąd porównać z niedowierzaniem, gdyż opinja publiczna skłonna była podejrzewać, iż stabilizacja jest chwilowa, a rząd kryje w zanadrzu przykrą niespodziankę.

Przebieg wypadków walutowych w okresie 1919 — 1923 odegrał niewątpliwie rolę fatalnego kompleksu, któryby należało nazwać „Landesvalutaminderwertigkeitskomplex". A jak silne było (i jest!) poczucie niższości, jeżeli pomimo dekretu o stabilizacji złotego i wielkiej (jak na polskie stosunki) pożyczki stabilizacyjnej tezauryzacja w złocie nie ustała ani na jedną chwilę. Kolekcjonowanie dolarów papierowych (z fałszywemi włącznie) i rubli złotych w latach „prosperity" przybrało formy bardzo jaskrawe; stezauryzowane w ten sposób środki obiegowe szacowano na kilkaset miljonów złotych. Ostrze tej tezauryzacji było jednak stępione przez ożywienie konjunkturalne, dzięki któremu złote ruble i papierowe dolary cyrkulowały narówni z biletami Banku Polskiego, bo chłopi płacili niemi za nabywane grunty, wyposażali córki, spłacali działy rodzinne etc. W miastach dolar był raczej walutą obliczeniową, chociaż w Małopolsce Wschodniej nawet K. K. O. przyjmowały wkłady w dolarach.

Kryzys stał się naturalnym sojusznikiem wyżej wzmiankowanego kompleksu. Społeczeństwo rozumowało w ten sposób: zasoby Skarbu Państwa się kurczą — złoty spaść musi, rząd ma kłopoty z sejmem — złoty spaść musi, świat się trzęsie — złoty spaść musi. Ten nieustanny refren o nieuniknionym jakoby spadku złotego stał się „Leitmotivem" poglądu opinji publicznej na kwestje gospodarcze w Polsce. A gdy do tego wszystkiego doszła dewaluacja funta i dolara, zdawało się, że dni „złotówki" są już policzone. Tezauryzacja się wzmogła i w rezultacie złota i srebra (tego ostatniego możnaby właściwie nie liczyć) sprowadzono w latach 1929—1935 za sumę 445 miljonów zł. Miejsce zdeprecjonowanych dolarów papierowych zajęły dolary złote, ale ruble carskie „made in Nederland" nie uroniły nic ze swego długoletniego prestiżu. Że złoto cieszy się nieustannym popytem, świadczy fakt, iż kurs rubla w złocie stale przekracza jego parytet formalny (4,67 zł.); to samo odnosi się do złotego dolara (parytet 8,89 zł.). Wystarczył niepokój, wywołany przesadną oceną wypadków z 7 marca, aby te dwa kruszcowe wskaźniki poszły dość gwałtownie wgórę.

Nie potrzeba dodawać, że to abisyńskie zamiłowanie do krążków, przybierając olbrzymie rozmiary (oblicza się prywatne zapasy złota na pół miljarda zł. wobec 400 milj. zł. rezerw kruszcowych Banku Polskiego i wobec niespełna miljarda zł. obiegu banknotów), staje się z każdym dniem coraz to cięższym kamieniem u nogi polityki państwa na odcinku finansowym. Każde posunięcie w kierunku inwestycyj publi-

cznych i ożywienia inwestycyj prywatnych jest paraliżowane przez tezauryzację. Opinja publiczna domaga się czynnego stosunku do zwalczania kryzysu" — społeczeństwo odpowiada kupnem złotych rubli i dolarów. Wystarczy najgłupsza plotka, by szanujący się obywatel momentalnie przedzierzgnął się w spekulanta. Kichnie kto w Europie — już nasi „finansiści" gorączkowo kupują złoto, wycofują wkłady i rezygnują z procesów produkcyjnych.

A nad tem wszystkiem unosi się atmosfera niewiary i panikarstwa. W tej atmosferze lęgną się najgłupsze bzdury i przywidzenia, brudny palec służy za źródło „objektywnych" uświadomień, a denerwujące oczekiwanie załamania się złotego przeradza się w psychozę. I to jest w całej tej historji najgorsze. Bo niema zdrowej, planowej gospodarki publicznej i prywatnej, gdzie obywatele żyją w podnieceniu i otumanieniu. I nie może być zdrowej, pozytywnej polityki walutowej tam, gdzie nad zagadnieniem par excellence rozumowem ciąży sfera niezdrowej uczuciowości. Fatalistyczne pojmowanie losów złotego, poczucie niższości własnej jeszcze i na polu walutowem, historja tezauryzacyjna — wszystko to nie sprzyja męskiemu i odważnemu postawieniu kwestji kursu złotego.

A problem ten przecież nie jest wcale taki prosty i łatwy. Aby go rozgryść, trzeba się dobrze zastanowić nad metodą i skutkami oddłużenia, nad sposobem wywiązywania się z zobowiązań wobec zagranicy, nad utrzymaniem, zaniechaniem czy ograniczeniem transferu, nad poziomem naszych cen i naszą zdolnością konkurowania z zagranicą, nad problemem budżetowym, nad sprawą uprzemysłowienia kraju i t. d., i t. d. Bo można się brać do obniżki złotego, gdy tego rodzaju radykalny zabieg (analogja z zabiegiem chirurgicznym jest chyba stuprocentowa) rokuje conajmniej 51 szans na 100, że choremu organizmowi gospodarczemu wyjdzie to na korzyść. Bo można „iść" na kurację systemem funtowym, belgijskim, czechosłowackim lub gdańskim, o ile się przekalkulowało zyski i straty — tak materjalne, jak i moralne (np. prestiżowe) — i o ile się ustaliło zasadę, że dewaluacja wynosi tyle a tyle procent, który „nie śmie" być przekroczony, a cała operacja trwa w tempie błyskawicznem. Gdy się tego wszystkiego nie robi, wniosek jest prosty: dewaluacji nie będzie.

Kto wie, czy dla stosunków polskich nie byłoby lepiej, żeby raz już wreszcie ten zabieg zaaplikować. Wstrząs byłby daleko słabszy, niż się wydaje, gdyż społeczeństwo jakgdyby samo na dewaluację czeka i denerwuje się tem oczekiwaniem. Ale jeżeli w interesie gospodarstwa narodowego zerwanie z dziesięcioletnią (tak jest: już dziesięcioletnią) stabilizacją naszej waluty jest niewskazane, dalsze tolerowanie dzisiejszej chwiejności (o ile nie paniki) i zdenerwowania absolutnie nie może mieć miejsca. Raczej drakońskie środki, stosowane bez pardonu wobec tych, co tezauryzują, i tych, co straszą dewaluacją. Mamy niemieckie i włoskie przykłady działania, a wyspy Liparyjskie posiadamy niedaleko Brześcia.

Ale w każdym razie w interesie gospodarstwa narodowego leży również i to, aby w stosunku do waluty było zajmowane stanowisko rozumowe, a nie uczuciowe. Złoty polski mógłby dzisiaj nie bez goryczy powiedzieć społeczeństwu, że „wyście z mego zrobili nazwiska pacierz, co płacze, i piorun, co błyska". Znając zaś czułostkowość i nerwowość naszego społeczeństwa, należy stwierdzić, iż błyskania było bezporównania mniej, aniżeli płaczu.

a. f.

JÓZEF GWACKI

HODOWLA STANU TRZECIEGO

Rezerwat rzemieślniczy.

Zwycięstwo stanu trzeciego oznaczało zwycięstwo zasady wolności przemysłowej nad ideałami gospodarki feodalnej. Wolność przemysłowa jednak poprzez koncentrację kapitału i rozwój wielkiego przemysłu niosła zagładę drobnej wytwórczości, stanowi trzeciemu.

W krajach zachodnio europejskich tempo industrjalizacji było bardziej ewolucyjne. W krajach środkowej Europy rozwój był opóźniony, nastąpił dopiero w drugiej połowie XIX w. Przemysł fabryczny został odrazu przeszczepiony w jego wielkoprzemysłowych postaciach. Tempo industrjalizacji było gwałtowne. Z tego powodu zagadnienie stanu trzeciego w krajach środkowo - europejskich nabrało cech specjalnej ostrości.

Rzemiosło niemieckie i austrjackie rozpoczęło walkę o powrót do dawnych form średniowiecznych, o zahamowanie rozwoju przemysłu fabrycznego i nowoczesnej organizacji obrotu handlowego. Walka z przemysłem fabrycznym była utopijna i beznadziejna. Zrodził się jednak z niej kompromis. Powstała myśl o stworzeniu na peryferji gospodarki kapitalistycznej — rezerwatu dla szczątkowych gałęzi produkcji i tradycyjnych form organizacji gospodarczej.

Ta myśl została zrealizowana w nowelach do austrjackiej i niemieckiej ustawy przemysłowej, wprowadzających dowód uzdolnienia i organizację cechową w rzemiośle.

Im dalej postępował rozwój przemysłu fabrycznego, tem bardziej były zaostrzane rygory w stosunku do rzemiosła. Niemcy przedwojenne nie mogły zdecydować się na wprowadzenie obligatoryjnego dowodu uzdolnienia, tak jak to uczyniła Austrja. W pierwszem dziesięcioleciu XX w. pozycja rzemiosła niemieckiego ustabilizowała się natyle, że wprawdzie nie było widoków na dalszą ekspansję, ale jednocześnie nie zagrażało też dalsze, gwałtowne kurczenie się zasięgu tego rodzaju produkcji. W okresie powo-

jennym, poinflacyjna racjonalizacja, koncentracja i rozbudowa wielkiego przemysłu wywołała raptowne pogorszenie się sytuacji rzemiosła. Wyraziło się to pogorszenie między innemi w masowym odpływie pracowników z warsztatów rzemieślniczych do fabryk. Cyfrowo odpływ przedstawiał się jak następuje: w grupie spożywczej 29%, w odzieżowej 30%, a w metalowej całych 76%. Jeżeli nie można było ratować rzemiosła przed niebezpieczeństwem ze strony przemysłu fabrycznego, to przynajmniej postarano się o ograniczenie rujnującej, wzajemnej konkurencji w ramach samego rzemiosła. Stąd nowe ustawy hitlerowskie z r. 1934 wprowadzają przymusowy egzamin mistrzowski.

W r. 1927, w Polsce iluzje co do szybkiego tempa uprzemysłowienia miały pewną podstawę w wysokiem napięciu ówczesnej konjunktury. W r. 1927 wydano ustawę przemysłową, wprowadzającą dowód uzdolnienia. Ta sama ustawa stworzyła prawne oparcie dla usankcjonowania i rozbudowy ustroju cechowego.

Rzeczywistość polska lat następnych rozwiała złudzenia konjunkturalne. Z warunków strukturalnych wynika, że udział drobnej wytwórczości w życiu gospodarczem jest i pozostanie zbyt poważnym, aby do tej wytwórczości można było stosować pomysły ochronne „rezerwatu“ rzemieślniczego. Rzemiosło w Polsce, zaliczając do niego właścicieli warsztatów, zatrudnia więcej osób, niż średni i wielki przemysł, razem wzięte. Obrót wszystkich warsztatów rzemieślniczych przekracza 35% obrotów przemysłu fabrycznego..

Tem niemniej rzemiosło w Polsce jest chronione według recepty austrjackiej i niemieckiej. Środki ochronne polegają na ograniczeniu, względnie selekcji dopływu nowych wytwórców oraz na organizacji branżowej, wyposażonej w faktyczny, lub prawny przymus. Te środki nawzajem się uzupełniają, są jak gdyby pojęciami komplementarnemi.

Pozostawiając sprawę organizacyj gospodarczych do następnego artykułu, zajmiemy się obecnie, głównie dowodem uzdolnienia zawodowego.

Drogi rozwoju rzemiosła.

Istnieją trzy drogi technicznego rozwoju rzemiosła. Jedna polega na pielęgnowaniu tradycyjnych sposobów wytwarzania, opiera się wyłącznie na sprawności ręcznej i doprowadza tę sprawność do perfekcji. Tę drogę jeszcze do dnia dzisiejszego można obserwować w Azji Wschodniej (np. rzemiosła ceramiczne w Chinach i Japonji). Tą samą w gruncie rzeczy drogą szło rzemiosło zachodnio - europejskie w epoce późnego średniowiecza, w okresie zamykania cechów przed dopływem nowych sił z zewnątrz. Istotnym bowiem warunkiem osiągnięcia tradycyjnego ideału perfekcji ręcznej jest zamknięcie warstwy rzemieślniczej w granicach odrębnej kasty, w której metody wytwarzania są doskonalone w ciągu wieków i przekazywane dziedzicznie.

Drugą drogą jest unowocześnienie produkcji rzemieślniczej, zlanie się jej z drobnym przemysłem. Sprawność ręczna pozostaje jednym z zasadniczych elementów produkcji, dochodzą jednak inne czynniki, jak stosowanie udoskonalonych narzędzi, stosowanie w miarę możliwości mniejszych silników i podziału pracy. Nad sprawnością ręczną dominują nowoczesne narzędzia i nowoczesne metody organizacji pracy. Modernizacja jest możliwa we wszystkich rodzajach rzemiosła. Rzecz jasna, że możliwy do osiągnięcia stopień modernizacji i waga poszczególnych jej elementów (narzędzia, silniki, podział pracy) są zależne od odrębności technicznych każdego zawodu rzemieślniczego.

Wreszcie trzecią drogą jest całkowite skooperatyzowanie drobnych wytwórców i zakładanie dużych, wspólnych warsztatów pracy. Te warsztaty są wprawdzie oparte jeszcze głównie na pracy ręcznej, ale stanowią tylko etap w kierunku do dalszej mechanizacji produkcji, w kierunku fabryki spółdzielczej. Tę drogę próbuje realizować Rosja Sowiecka.

W polskich warunkach specjalne zainteresowanie powinien budzić drugi typ rozwoju. Drożyzna kapitału, taniość robocizny i ograniczony zasięg rynków zbytu zakreślają stosunkowo wąskie perspektywy inwestycjom fabrycznym w wielkoprzemysłowym stylu.

Odpowiednikiem każdego technicznego typu produkcji jest socjalno - gospodarczy typ przedsiębiorcy.

W chwili obecnej spośród właścicieli zakładów rzemieślniczych zaledwie garstkę można zaliczyć do typu „drobnego przemysłowca“. Wprawdzie kategorja osób, której dochód opiera się głównie na t. zw. zysku przedsiębiorcy jest o wiele liczniejsza, lecz wśród tej kategorji przeważa typ związany z tradycyjnym, średniowiecznym systemem produkcji.

Najliczniejszą jednak grupę rzemieślników stanowią osoby, których dochód opiera się właściwie tylko na pracy rąk własnych. Według danych ostatniego powszechnego spisu ludności, w najpospolitszych rzemiosłach (szewctwo, krawiectwo) stosunek rzemieślników zatrudniających siły najemne do rzemieślników pracujących bez sił najemnych wynosi ok. 1 : 10. W tej grupie należy przeprowadzić zasadniczy podział: na rzemieślników pracujących na własny rachunek i na chałupników, zatrudnionych przez nakładców. Ani jednych, ani drugich nie można zaliczyć do klasycznego, w sensie tradycji średniowiecznej — rzemiosła. Pierwsi stanowią typ wyrobnika („Lohnwerk“) i reprezentują najbardziej prymitywny stopień produkcji. Chałupników natomiast wypadnie zaliczyć do formacji chronologicznie późniejszej niż rzemiosło w stylu średniowiecznym. Chałupnictwo jest związane z rozszerzeniem zasięgu rynknów zbytu poza granice rynku lokalnego i z rozwojem kapitału handlowego.

W składzie rzemiosła należy rozróżnić conajmniej cztery kategorje socjalno - gospodarcze. Łączy je wykonywanie tych samych 62 zawodów, wyliczonych w art. 142 prawa przemysłowego i poddanych jednolitemu systemowi reglamentacji.

Jaką metodę reglamentacji wybrano dla rzemiosła? Krajanie „bochenka“ dochodu społecznego w ramach poszczególnych, często bardzo licznych zawodów jest operacją zbyt skomplikowaną. Metoda prostsza polega na zmniejszeniu liczby dopuszczonych do podziału.

Mechanizm selekcji.

Uprawnienie do „samoistnego“ prowadzenia rzemiosła, w myśl ustawy przemysłowej można uzyskać w następującej drodze: trzeba odbyć 3-letnią naukę, złożyć egzamin czeladniczy, a następnie odbyć dłuż-

szą, conajmniej 3-letnią praktyką czeladniczą. Dla uzyskania uprawnienia do prowadzenia rzemiosła złożenie egzaminu mistrzowskiego nie jest koniecznem, lecz bez dyplomu mistrzowskiego nie wolno przyjmować terminatorów na naukę rzemiosła.

System ten przedstawia swego rodzaju zaporę dla dopływu nowych, samoistnych rzemieślników. Co do działania tej zapory trzeba sobie dodatkowo uświadomić, że naukę rzemiosła można odbyć nie u każdego rzemieślnika, a tylko u mistrza lub w szkole zawodowej typu normalnego, że bez uczęszczania i ukończenia szkoły dokształcającej nie można przystąpić do egzaminu czeladniczego, że za praktykę czeladniczą uważa się tylko pracę w warsztacie rzemieślniczym, a nie np. w fabryce.

Działanie zapory mogą komisje egzaminacyjne spotęgować przez podwyższenie wymagań egzaminacyjnych.

Możność założenia warsztatu należycie wyposażonego pod względem technicznym jest oczywista pozatem, a raczej przedewszystkiem zależna od poziomu płac czeladniczych, od tego, czy te płace pozwolą na zaoszczędzenie potrzebnego kapitału inwestycyjnego. System selekcji jest tak skonstruowany, że właściciele warsztatów mogą rekrutować się tylko z pośród czeladników, pracujących w warsztatach rzemieślniczych.

Czynnikiem zakłócającym mechanizm selekcji jest dyspensa, uzależniona od dowolnego uznania władz przemysłowych, a w pewnej mierze i izb rzemieślniczych. Działacze i organizacje rzemieślnicze energicznie domagają się usunięcia dyspensy.

Działacze i organizacje rzemieślnicze domagają się również uzależnienia prawa do prowadzenia warsztatu od złożenia egzaminu mistrzowskiego. Chodzi o to, aby zapora była bardziej kompletna i składała się z dwuch ogniw: egzaminu czeladniczego i mistrzowskiego.

Przesłanki oceny.

Za koniecznością reglamentacji rzemiosła wysunięto cały szereg najróżnorodniejszych argumentów. Dlatego ocena tej reglamentacji wymaga uprzedniej odpowiedzi na bardzo długi szereg pytań.

1) W jakim stopniu postanowienia prawa przemysłowego mogą przyczynić się do należytego wyszkolenia pracowników rzemieślniczych?

2) Czy reglamentacja rzemiosła może wpłynąć na ulepszenie wyposażenia technicznego przedsiębiorstw rzemieślniczych?

3) Jaki jest wpływ reglamentacji na usprawnienie organizacji pracy w przedsiębiorstwach rzemieślniczych? Odpowiedzi na te pytania pozwolą nam zorjentować się co do kierunku selekcji, dokonywanej na podstawie norm reglamentacyjnych. Do tej grupy pytań dołączymy kwestję natury techniczno-prawnej, a mianowicie:

4) Jakie są możliwości techniczno - prawne rozszerzenia systemu reglamentacji rzemieślniczej na inne zawody, dotychczas, nieobjęte art. 142 prawa przemysłowego („nowe rzemiosło")?

Druga grupa pytań dotyczy zagadnień ściśle ekonomicznych.

5) Jakie są przyczyny postępującego procesu rozdrobnienia produkcji rzemieślniczej i czy reglamentacja jest w stanie usunąć przyczyny, a nie tylko objawy procesu?

6) Czy reglamentacja chroni drobnego wytwórcę przed konkurencją przemysłu fabrycznego i wyzyskiem kapitału handlowego?

7) Jaki wpływ może mieć reglamentacja na dopływ nowych, drobnych kapitałów do produkcji rzemieślniczej?

8) Jaki wpływ wzajemny wywiera ograniczenie liczby producentów w jednym zawodzie rzemieślniczym na sytuację gospodarczą pozostałych zawodów rzemieślniczych oraz na sytuację całej klasy drobnomieszczańskiej?

Pytanie to jest kluczowem dla oceny metody ograniczania liczby dopuszczonych do podziału „bochenka" dochodu społecznego w ramach poszczególnych zawodów. Do grupy pytań ściśle gospodarczych dołączymy pytanie:

9) Jaki wpływ może wywrzeć reglamentacja na równomierność nasycenia rynku zbytu przez warsztaty rzemieślnicze i jakie mogą być możliwości planowej polityki celowego rozmieszczenia zawodów rzemieślniczych?

Z dziedziny socjalnej należy postawić dwa pytania:

10) Jaki wpływ może mieć reglamentacja rzemieślnicza na kwestję produkcyjnego zatrudnienia przyrostu naturalnego (bezrobocia młodzieży)?

11) Jaki wpływ może mieć reglamentacja rzemiosła na kwestję przeludnienia agrarnego oraz na standart życiowy ludności wiejskiej?

Odrębne i specjalnie ważne pytanie dotyczy sprawy:

12) Czy reglamentacja może wpłynąć na spolszczenie rzemiosła i w jaki sposób?

Wreszcie ostatnie pytania:

13) Jaki wpływ wywiera reglamentacja na mentalność gospodarczą rzemieślników?

14) Na czem polega związek między reglamentacją rzemiosła, a ochroną konsumenta?

15) W jakiej mierze reglamentacja rzemiosła wpływa na rozrost biurokracji w dziedzinie administracji przemysłowej oraz na związane z tem obciążenie budżetu publicznego?

Wszystkie pytania postawiliśmy w formie hypotetycznej. Pomimo bowiem upływu 8 lat od ogłoszenia ustawy przemysłowej system reglamentacji rzemiosła nie został dotychczas zrealizowany w całej rozciągłości, tak, że należy mówić raczej o skutkach potencjalnych na wypadek faktycznego wprowadzenia w życie tego systemu.

Odpowiedź na wszystkie wyżej wyłuszczone odpowiedzi razem złożą się na odpowiedź kardynalną: *czy w drodze przymusu reglamentacyjnego może nastąpić techniczne i gospodarcze wzmocnienie stanu trzeciego oraz czyim i jakim kosztem?*

Musimy niestety odpowiedzieć na wszystkie pokolei pytania, gdyż w ustawie przemysłowej brak sformułowania celów ustawy, a nie warto rozpoczynać dyskusji, jakie cele są istotne — a jakie nieistotne według t. zw intencji ustawodawcy. —

(Ciąg dalszy nastąpi)

NOTATKI

KIEROWNICTWO SPÓŁDZIELCZOŚCI

Ustawą z dnia 13 marca 1934 r. znowelizowano prawo o spółdzielniach. Zmieniając całą konstrukcję tego prawa i silnie reglamentując społeczne procesy kooperacji, nie zmieniono szeregu istotnych punktów, do których m. in. zaliczyć można organizację aparatu kierowniczego.

Spółdzielnie, jak wiemy, dzielą się na związkowe i na niezwiązkowe, „dzikie". Pierwsze należą do 13 związków rewizyjnych, pozostałemi opiekuje się Rada Spółdzielcza. Na tem tle wyłania się pierwszy paradoks: członkami Rady są w większości reprezentanci związków, w których interesie nie leży ani istnienie spółdzielni „dzikich", ani ich jakiekolwiek uprzywilejowanie. Dowodem tego stosunku jest podniesiona w ostatnich miesiącach — na życzenie większości Rady — taryfa za rewizje spółdzielni niezwiązkowych. A ponieważ Rada już niejednokrotnie dawała wyraz poglądowi o stopniowej likwidacji spółdzielczości niezwiązkowej, zwyżkę taryfy rozumieć należy jako swego rodzaju demonstrację ze strony związków pod adresem biura Rady Spółdzielczej za jej — jak się należy domyślać — zbyt powolną likwidację spółdzielni „dzikich".

Z tem się łączy drugi paradoks, właściwie uzupełnienie pierwszego: Rada Spółdzielcza występuje jednocześnie w dwuch rolach — w roli I instancji dla kooperatyw niezwiązkowych i w roli II instancji — dla związkowych. Trzeci zaś paradoks polega na tem, iż na czele Rady stoi przewodniczący, będący urzędnikiem Ministra Skarbu, ale zależny w swej działalności od Rady Spółdzielczej, której większość stanowią delegaci związków, będących wszakże klijentami Rady (przewodniczący tej ostatniej dokonywa lustracyj w związkach). Czwarty — i, jak się zdaje, ostatni — paradoks dotyczy formy zewnętrznej: Rada Spółdzielcza nie jest ani samorządem gospodarczym, ani urzędem państwowym, co w praktyce usuwa ją poza nawias prac państwa i samorządu.

A tymczasem — i dlatego właśnie piszemy niniejszą notatkę — rola spółdzielczości jest już dzisiaj tak odrębna, że niemożna jej zamknąć w granicach paru związków i jednego z wydziałów ministerjalnych. Ostatnio odbyta Narada Gospodarcza wykazała, że o programie społecznym i gospodarczym Polski dzisiejszej nie można dyskutować i decydować bez spółdzielczości. Jeżeli same tylko spółdzielnie związkowe (z końcem 1933 r. blisko 12.000), liczą ok. 3 miljonów członków, zatrudniają blisko 30.000 pracowników, posiadają funduszów własnych zgórą ćwierć miljarda zł., tyleż na wkładach oszczędnościowych, a przeszło miljardem zł. zamykają sumę bilansową, wykazują do 400 milj. zł. obrotu towarowego rocznie i t. d., i t. d. — to mamy do czynienia ze zjawiskiem w skali — jak na polskie stosunki — naprawdę poważnej i doniosłej.

Ale to pociąga za sobą konsekwencje, nawet daleko idące. Jedną z nich (nie twierdzimy, że najważniejszą i najpilniejszą) byłoby przekształcenie dzisiejszych związków i Rady Spółdzielczej w rodzaju samorządu gospodarczego. Zapewne, byłby to wyłom w istniejącym schemacie trzech rodzajów izb: przemysłowo - handlowych, rzemieślniczych i rolniczych. Byłoby to ponadto „skubnięcie" każdego z tych samorządów, z których taki np. rzemieślniczy reprezentuje o wiele skromniejszy dorobek od jednego — dwuch związków spółdzielczych. Odebranie zaś izbom przemysłowo-handlowym opieki nad spółdzielczością handlową oczyściłoby niewątpliwie atmosferę wzajemnej niechęci i braku współdziałania.

Nie wchodząc w szczegóły (trudno dzielić skórę na niedźwiedziu), wyobrażamy sobie organizację spółdzielczą jak następuje: na dole wszelkiego rodzaju spółdzielnie, wyżej — związki rewizyjno - gospodarcze, grupujące kooperatywy według przedmiotu działalności i ewent. narodowości członków, na górze — Rada Spółdzielcza. Poza związkami nie może istnieć ani jedna spółdzielnia, wszystkie są związkowe i szlus! Rada jest tylko związkiem związków, stanowi ich logiczną nadbudowę, komórkę koordynacji i przewodnictwa. Każdy związek ma w Radzie jeden głos bez względu na ilość zgrupowanych przy nim spółdzielni (zasada roczdelska). Nadzór nad tak zorganizowaną spółdzielczością sprawuje bądź Minister Skarbu, bądź kolektywnie zorganizowany organ urzędniczy, reprezentujący zainteresowanych ministrów, a przydzielony do Prezydjum Rady Ministrów (dopóki niema Ministerstwa Gospodarki Narodowej).

k. b.

P. K. O. I KURA

W toku nie kończącej się dziś dyskusji na temat polityki pieniężnej spotkałem się w pewnym zespole poważnie dyskutującym zagadnienie z pytaniem, czy i jakie istnieją symptomy tego, że obieg pieniężny w Polsce jest niewystarczający dla sprostania potrzebom obrotu towarowego. Stawiający to pytanie wychodził ze słusznego założenia, iż niedostosowanie rozmiarów tego obiegu do elementarnych potrzeb życia gospodarczego musi rodzić pieniądz zastępczy, tak, jak to było np. w Niemczech w czasach hyperinflacji, kiedy po spadku wartości obiegu do kilku procent „normalnej przedwojennej sumy" poczęły się mnożyć wszelkiego rodzaju namiastki pieniądza. W niewiele dni potem w innem gronie mniej poważnie nastrojonem pytanie to znalazło mimowolną odpowiedź. Odpowiedź jest tak ciekawa, tak poważna, i wesoła jednocześnie, że trudno byłoby oprzeć się pokusie zestawienia owego pytania i owej mimowolnej odpowiedzi, odpowiedzi tem cenniejszej właśnie, że mimowolnej.

Rozmowa toczy się na temat stosunków w handlu, w szczególności w branży włókienniczej. Dobry znawca tej branży powiada: „Błedem byłoby mniemać, że zmiany w prawie czekowem usuną czek z tych funkcyj, jakie spełnia on w obrocie towarami włókienniczemi. Prawda, że czek antedatowany może być w myśl nowych przepisów prezentowany do wypłaty natychmiast. Prawdą jest również, że wszyscy u-

czestnicy obrotu czekami tego rodzaju podlegają sankcjom karnym. Ale przecież wzmacnia to tylko popularność tego środka płatniczego. Popularna na rynku anegdota powiada, że kiedy Citronenblat wręczył Rabinowiczowi czek, to spotkał się z pretensją: „To ma być czek? A gdzież tu jest stempelek „bez pokrycia“. Pan za to nie może siedzieć. To nic nie warte”. Wartość czeku antedatowanego jako środka obiegowego jest w handlu tem większa, im silniejsze są sankcje karne za jego użycie. Dyskontera czeków — postać centralną w obrocie handlowym wewnętrznym — nie interesuje pokrycie gotówkowe czeku. Prawdziwą wartość dla niego ma stopień kryminalnej odpowiedzialności”.

Rozmowa schodzi na stosunki wiejskie. Za co chłop kupuje igły, zapałki, naftę i t. p. Bo przecież wiadomo, że dochód ze sprzedaży głównych artykułów, a więc ze sprzedaży trzody chlewnej czy zboża, obracany jest niezwłocznie czy to na zapłacenie podatków, czy to na jakieś inne kapitalne wydatki. Sprawa jest znana. Bieżące wydatki, bieżące drobne zakupy, w całym szeregu okolic, zwłaszcza okolic o rozwiniętej hodowli drobiu, załatwia się bardzo często płacąc w naturze, płacąc jajkami. W zasadzie jest to tylko forma obrotu naturalnego, obrotu bezpieniężnego. Ale stopniowy rozwój podnosi „gospodarczą rangę” jajka. Ten towar staje się pieniądzem — towarem. Tak jak daktyle w Arabji, jak sól w Abisynji. Jajka jako zapłatę przyjmuje także kupiec, który jajami nie handluje. Jajkami wydaje resztę sklepik wiejski, który nie ma drobnych.

Mamy zatem conajmniej dwie formy pieniądza zastępczego. Mamy zatem conajmniej dwie pomocnicze instytucje emisyjne. Oczywiście instytucje zupełnie mimowolnie odgrywające tę rolę. Nietylko kura, ale nawet i P. K. O. nie zdaje sobie sprawy z roli, jaka im jest narzucana. Oba typy pieniądza zastępczego nastręczają bardzo ciekawe momenty dla analizy fachowców — pieniężników. Niezmiernie np. ciekawy problem stanowiłoby ustalenie, definicji pokrycia ...czeków bez pokrycia . Nie podejmując tej trudnej pracy pragnę w każdym razie zwrócić uwagę na symboliczną analogję, jaka wytwarza się tu pomiędzy skarbem Banku Emisyjnego, a celą więzienną. Ciekawy problem teoretyczny stanowi zagadnienie stłuczenia pieniądza — jajka. Czy tłuczenie jaj jest zagadnieniem deflacyjnem, czy nie.

Niemniej ciekawy ale niestety grubo mniej wesoły problem stanowi kwestja kosztu posiłkowania się pieniądzem pomocniczym. Dyskonto pierwszorzędnego czeku u dyskontera prywatnego kosztuje ponoć nie mniej jak 1,1% miesięcznie. Przy słabszych czekach, przy czekach o zbyt małej ilości żyrantów— przestępców stopa rośnie do 2 i więcej procent. Obciążenie obrotu, posiłkującego się tą formą pieniądza zastępczego, wynosi zatem kilkanaście do 20 kilku procent rocznie. Trudniej obliczyć obciążenie, związane z obiegiem kurzego pieniądza. W każdym razie należałoby tu wkalkulować koszta chłodzenia i sortowania pieniądza, wahania kursowe na rynku londyńskim, sezonowość emisyjną, koszta walki konkurencyjnej na rynkach światowych z instytucjami emisyjnemi innych krajów, (innych kurników), no, i premja za ryzyko potłuczenia lub zepsucia jaj. Do kalkulacji należałoby również przyjąć pewien współczynnik, uwzględniający to, że zepsute jaja nie są wbrew opinji gospodyń domowych towarem bezwartościowym, gdyż mogłyby być wykorzystane nietylko do fałszowania zdrowej, kurzej monety, ale również np. do rozgrywek politycznych.

kor.

TANIE KSIĄŻKI

„Raz na rok koło Wielkiejnocy“... odbywa się w księgarniach tradycyjna wyprzedaż książek. Idą setki i tysiące wybrakowanych przed paroma laty dzieł (niekiedy nawet — arcydzieł), a księgarnie upadabniają się przez pewien czas do antykwarni z ul. Świętokrzyskiej i do ulicznych sprzedawców, zachwalających swój towar okrzykiem: „Niebywała okazja! Co w sklepie...“ i t. d.

Rzeczywiście, okazja jest niebywała. Książki, które jeszcze nie tak dawno kosztowały 7 — 8 zł., sprzedawane są w „tanim tygodniu“ (który trwa miesiąc) po 2 — 3 zł. Zniżka cen w księgarniach bije dobrowolne i przymusowe zniżki cen artykułów skartelizowanych.

Powyżej wspomniane imprezy mają — o czem wszyscy wiedzą — sens jedynie i wyłącznie — kasowy. Służą one do napędzenia wydawcom i księgarzom trochę gotówki na kapitał obrotowy, którego im stale brakuje. Możnaby jednak sądzić, że w ten sposób przedsiębiorstwo pozbywa się za „psi grosz“ swego drogocennego majątku, że — poprostu — zjada swój majątek zamiast go fruktyfikować. W rzeczywistości jest inaczej: fruktyfikowanie odbywa się już w pierwszych miesiącach „emisji“ danej książki. Sprzedawana po 7 — 8 zł. za tom (5% pensji miesięcznej urzędnika państwowego VII st. sł.), książka taka jest obliczona na pewną „żelazną“ grupę nabywców, którzy tak czy owak książkę nabędą, póki jest „świeża, gorąca“. Przy normalnym nakładzie 2.000 egzemplarzy garść bibljofilów, snobów i — czytelń wystarczy do pokrycia zapotrzebowania na lwią część nakładu. Co nie pójdzie odrazu, za jednym zamachem — pójdzie w „tanim tygodniu“ jako rzecz dawno zamortyzowana. Czy dochodowa — to rzecz inna.

W takich warunkach wydawca nie jest specjalnie zainteresowany w obniżce ceny książek. Z rachunku wynikałoby, że przy zmniejszeniu odrazu ceny do połowy popyt na książkę się podwoi. De facto popyt podniesie się o kilkanaście procent, gdyż pomiędzy wspomnianą grupką amatorów „świeżego ciasta“, a t. zw. czytelnictwem masowem jest w Polsce wielka przepaść.

Ludzie w Polsce nie kupują książek nawet za 2 zł., t. zn. kupują, ale nie w takiej ilości, aby się opłacało bić po 20.000 egzemplarzy.

Masowego nabywcę książki trzeba wychować. Nie można atoli sądzić, iż to rola szkoły i przymusu bibljotecznego. Na trzeciego niezbędny jest księgarz-wydawca. Przez tyle lat oduczał nas od kupowania tanich książek, aż stał się kimś obcym i wrogim. Dzisiaj za to schodzi na... tani tydzień i „co w koszu do wyboru!“...

k. b.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA" CZESŁAW BOBROWSKI

SEKRETARZ REDAKCJI ZOFJA CIECHOMSKA

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4· TELEFON 676-73 KONTO P. K· O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.